

# BAŁAMUT.

## JARMARKI BERDYCZOWSKIE, KONTRAKTY KIEWSKIE, WYBORY.

(Dokończenie.)

Nadeszły czasy kontraktowe. Kontrakty, pomyślałem sobie, powinny być przyjemniejsze od Berdyczowskich jarmarków. A *1od*, dla tego, że ludzie nie są tak zajęci kołmi; *2re* że ich jest więcej, bo obywatele trzech gubernij na kontrakty ziężdżają; *3cie*, że miasto ładniejsze. Jakoż, na żadnej s tych rachub nie zawiodłem się. — W istocie, ludzie tam nie myślą o koniach, jest ich więcej i miasto ładniejsze: ale *interest* osobisty daleko tu jest więcej zaostrzony, gdy idzie o rzeczy daleko ważniejsze. Djabełek i kości, tak tu jak i na jarmarkach Berdyczowskich, zawsze są skrzydłami pałacu poświęconego zyskom, s tą tylko różnicą, że gdy tu ciało jest większe stąd proporcjonalnie i skrzydła większemi być muszą. Ludzi niezawodnie jest więcej, ale przemieniają się całkiem w maszyny, kupujące i sprzedające wsie, rzucające kartami i kośćmi. Miasto niezawodnie ładniejsze: ale ale tak duże i rozrzucone, że ma raczej mniej tatarskiego obozu niż miasta.

Udałem się naprzód na salę kontraktową jako serce kontraktów. Zastałem salę brudną, s kilka brudnemi ławeczkami, na których siedzieli żydzi. Cała sala, w której najwięcej miejsca zabierają dwa rzędy filarów i sklepy, była zresztą napchana ludźmi okutanymi w futra i czapki. U każdego, biegają tylko oczy, wysłane w pogoni za dłużnikiem lub nabywcami i sprzedawcami wsi, by ich oszachrować. W innej kącie, nawzajem, widzisz dłużników szukających pilnie oczami swych wierzycieli, by od nich po za filarami się wysuwać. — Wszystko to od razu mnie znudziło, i już po-tém cały dzień siedziałam w stancyi, w wieczór tylko wychodząc, na diabełka lub koncert. Ale dość mi było siedzieć w stancyi dla robienia tysięcznych postrzeżeń: stałem

bowiem s tak właściwie zwanymi kontraktowiczami, t. j. ludźmi mającymi duże kapitały, a następnie kupującymi wsie, odbierającymi z różnych stron prośby o pożyczanie części tych kapitałów, mającymi już rutynę w kupowaniu majątków, a następnie kupującymi i sprzedającymi je różnym swoim dobrym znajomym. Wszystkie tedy manipulacye odbywają się z daleko większą jak na jarmarkach powagą; niema takich birbanetw i włóczęgi po ulicach; *interest* osobisty jest tu za nadto w wielkiej grze ażeby myśleć o zakrywaniu go życiem jakoby rozpustnem i towarzyskiem. Cały machiawelizm jest tylko w rozmowach. Często idzie o wmówienie komu że kupuje się wieś w gubernii Podolskiej, wtenczas, kiedy się ma myśl kupienia jej w Wołyńskiej lub na Ukrainie: a to na ten koniec aby tę wieś za połowę jej wartości nabyć. Idzie znowu o to aby sprzedając wieś wytłumaczyć że się i owszem chce dobra nabywać, albo iż się tej przynajmniej wsi na sprzedaż niema, a to na ten koniec aby ją sprzedać za podwójną jej cenę. — Przytoczę tu jeden w tym rodzaju przykład. P. Rubłowicz miał długi, i potrzebował wieś sprzedać. Pani Groszowska chciała ją kupić, i umówili się, że, po cenie jaka będzie na kontraktach kupno, to zawrą. Ale Pani Groszowska, zobaczywszy że cena dobr zbył jest na kontraktach droga, a wiedząc P. Rubłowicza w potrzebie koniecznego przedania, zamilkła, w nadziei iż jej s powszechnej ceny spuści. Jakoż, P. Rubłowicz wkrótce się opatrzył że będzie musiał na tej wsi stracić. Wierzyciele zaczęli się zgłaszać, i, P. Rubłowicz, zmartwiony, musiał się wreszcie udać do P. Dukacińskiego, swego przyjaciela, po radę. — Cóż w tém złego widzisz? mówi P. Dukaciński. — A naturalnie: wiele złego. Ona nie zgłasza się do mnie; a mnie też nie wypada iść do niej s proporcycją żeby nabywała, bo, licząc na moją potrzebę, zechce za połowę ceny kupić. — A to tak zrobmy, żeby ona przyszła do ciebie s proporcycją, nie ty do niej! — A jakżeż tak zrobić? — Oto Pani Groszowska ma kapitał u P. Assygnato-

wicza, mego przyjaciela; P. Assygnatowicz przywiózł właśnie ten kapitał s sobą by jej wypłacić, już ją awizował, i, babula czeka tylko czasu wejścia w kupno żeby kapitał ten odebrać. Owoż poszł do P. Assygnatowicza prosząc go o pozwolenie mi tego kapitału, do pierwszego zapotrzebowania; a ty, nie frasując się, ogłoś na sali kontraktowej żeby się wszyscy wierzyciele twoi zbięrali; wyłóż te wszystkie worki na wierzch, płac każdemu kto zechce, a sam przyjdź do mnie jutro rano, ostrzegłszy swego lokaja, żeby, jak ona przyjdzie, powiedział jej iż jesteś u mnie.»—Uściskał P. Rublowicz P. Dukacińskiego, dziękując mu za tak skuteczną radę, i zrobił jak ten mu powiedział. Nazajutrz zrana P. Groszowska, dowiedziawszy się iż P. Rublowicz wszystkich kredytorów spłaca, pobiegła natychmiast w celu pogadania z nim o kupno wioski; a nie zastawszy go i dowiedziawszy się iż jest u P. Dukacińskiego, puściła się za nim w pogoń. Po wzajemnych przywitaniach, niebawem przyszło do rzeczy: — Czy pan wieś swoją sprzedajesz? Nie, pani dobrodziejko.—A jakżeż to być może, gdy mnie pan zaręczył że przeda? — Wymagały tego moje interesa; lecz terez inaczej się już ułożyłem i bynajmniej nie potrzebuję wsi tej sprzedawać. — Po długich certacyach Pani Groszowskiej s P. Rublowiczem, P. Dukaciński odezwał się wreszcie: Ale moj kochany Rublowiczu, powinienes przedać wieś pani, jeśliś jej obiecał. — Ale moj kochany, na cóż mam sprzedawać, kiedy nie potrzebuję? — Ale coż s tego kiedyś dał słowo? — Otóż pan dobrodziej ma racya, mówi Pani Groszowska; w istocie dał mi słowo! — No, to kiedy tak utrzymujesz, rzekł wreszcie P. Rublowicz, to ze sprzedażą tej wsi zdają się zupełnie na ciebie. — I ja się zdaję na pana, odzywa się Pani Groszowska; to prawdziwie godny obywatel. — Zdała się tedy pani Groszowska na godnego obywatela, i, po długich umowach, zapłaciła po 75 dukatów dusze które nie warte były jak po 50. P. Dukaciński pożyczyl znowu na kilka godzin u innego ze swoich znajomych sumę jaką zabrał od P. Assygnatowicza. Zawieziono tę sumę do P. Assygnatowicza, stamtąd do P. Rublowicza, a nakoniec do prawdziwego jej właściciela, i, za pomocą takiego to strategicznego obrotu, P. Rublowicz wziął za każdą duszę po 25 dukatów więcej niż się spodziewał.

Upłynęło znowu dla mnie kilka miesięcy spokojnych dopóki nie nadszedł czas wyborów. Ruszyłem tedy na nie; ale i wybory przestawiły mi ludzi w tém samym świetle co jarmarki Berdyczowskie i kontrakty: zawsze cheiwych polepszenia swego interesu kosztem cudzym. Na jarmarku jedni drugich chcą oszachrować na koniach; na kontraktach na wsiach; na wyborach zaś na samychże ludziach i urzędnikach. Widziałem jakie przyjacielskie obiady wydaje P. Kandydat na Marszałka, na Prezesa; jak wszystkich kocha, ściska, całuje, a potém obciera się jedwabną swoją chustką i perfumuje, mówiąc do swych poufałych: »Jak ta szlachta kożą śmierdzi; jak potnieje przebrzydłe!« — Tak ludzie zawsze ludźmi; gdzie tylko ich interes osobisty poruszony, gorsi od odyńców: umieją krętymi drogami iść do celu, tak że bardzo trudno ich się ustrzedz; a zadają rany gorsze częstokroć od najgorszych ran cielesnych. Bodajto, dalekim od wrzawy interesów, żyć spokojnie na łonie rodziny, a czasami tylko dla rozrywki zajrzeć do cywilizowanego miasta, gdzie ludzie, chociaż nie zapominają o interesach, umieją się przyzwoiciej i szlachetniej bawić! \*)

T. B.

## Rozmowa o Modach.

WILNO.

*P. Sędzia Graniczny.* Skąd też to, mości Dobrodzieju, te mody się biorą? To to w magazynach waszych muszą sobie suszyć głowy nad tém ustawicznym okrawywaniem i przekręcaniem kapeluszków, czépków, sukien....

*P. Rejent.* Wcale nie. Toby za nadto kosztowało pracy. Wszystko nam przybywa gotowe. Paryscy dziennikarze rysują po prostu wszystko cokolwiek tylko najnowszego i najdziwniejszego ujrzyć się im zdarzy w lesie Bulońskim, na Włoskim bulwarze, na balu Opery lub znakomitszych tańczących herbatach; przysyłają nam pocztą, i my, według rysunków tych, obowiązani jesteśmy conajprędzej odziewać się od stóp do głowy, tak zupełnie jak się jakiejś francuskiej kokietce lub jakiemu modnemu frantowi podobało.

*P. Sędz. A...a? doprawdy?*

*P. Rej.* To już wszystkim wiadomo. Idzie

\*) Redakcyja Bałamuta poczytuje tu za obowiązek oświadczyć, za powyższy artykuł, wdzięczność swoją szanownemu korespondentowi który go nadesłał, równie jak i krotochwilnemu autorowi umieszczonej w kilku ostatnich NN. Wędrowki do Rygi, i polecić się i nadał łaskawym ich względom.

tylko o to kto będzie w naśladowaniu pierwszym; i, kiedy damy i kawalerowie londyńscy ubierają się już w niedzielę w to wszystko co się w Paryżu ostatniego poniedziałku zjawilo, nasze wileńskie eleganterki i kijowscy franci zaledwie szczęścia tego dostępują po roku. Wszakże dotąd widzujemy jeszcze na placu przed ratuszem spodnie s fałdami, jakie już od lat pięciu na całym świecie z mody wyszły?

*P. Sędz.* Dalibóg? A wszakto i u mnie, mości dobr., s fałdami!.... Ale, nie każdemuż to, jak WPanu, jeździć co puł roku do Peterzburga i wracać wymuskanemu jak lalka....!

*P. Rej.* Wcale nie tyle jak się zdaje. I, chociaż pokazujecie mnie palcem widząc na mnie frak s szerokimi połami i opięte spodnie, sami także same nosić będziecie po roku. Z dwójga zatem złego, lepiej i w naśladowaniu być jednym s pierwszych, niżeli, s ciurami obozowemi, przy tylnej trzymać się straży. Zresztą, czując potrzebę zastosowywania się do tego co czynią inni, wcale nie należę do rzędu wielbicieli zmiennych i dziwacznych nowości.

*P. Sędz.* Aa? To dalibóg prawda, panie Rejencie.

*P. Rej.* Ale skąd inąd i WPan, panie Sędzio, nie źle wychodzisz na trzymaniu się ciągle tego co noszono przed kilkunastą laty. Frak W Pana, s szerokimi połami i metalicznymi guzikami, długie kamizelki, długie buty s kutasami i koszule z żabotami, zdają się jakby świeżo sprowadzone s Paryża. Ostatnie spodnie s fałdami, które ci przed pięć laty mimowolnie sprawiono, są jedynym artykułem dzisiaj pleśnią tchnącym.

*P. Sędz.* Powiedz to, zmiłuj się, panie Rejencie, mojej żonie!

*P. Rej.* Przekonywać się nawet zaczynam, przeciw temu co sam czynię, iż naśladowający pana w przywiązaniu do dawnych strojów, poczęści słusznie i rozsądnie postępują. Coż bowiem lepszego widzimy w terazniejszych nad to co było przed kilku laty? Pańska granatowa, rogata czapka, broni przynajmniej zimą od chłodu; zielony, skórzany kaszkiet, z ogromnym kwadratowym daszkiem, zakrywa przynajmniej twarz od słońca, naksztalt parawanu. Ale cóż powiedzieć możemy, my nieszczęśliwi, na korzyść naszych modnych, ciasnych, s papieru wyklejonych i jedwabnym pluszem powleczonech pudełek, nazwanych kapelusami? Zimą, kapelusz taki, zaledwie trzymający się na wierzchu głowy, łącznie z odłożystymi kołnierzami wierzchniej odzieży, pomaga tylko do hartowania uszu; latem przejmuje się cały

słonecznym skwarem, i głowa zdaje się w nim siedzieć jak w angielskim piecyku do pieczenia. Wąziutkie jego skrzydła nie bronią twarzy od deszczu ani od światła i dodają mu tylko podobieństwa do wywróconego wazonu od kwiatów. Nakoniec, chwalebny zwyczaj trzymania go zawsze w ręku, zabezpieczając wprawdzie od nieprzyjaciół siódmego przykazania, nie pozwala mu trwać dłużej półroka....

*P. Sędz.* Ja, moją granatową czapkę kupilem na jarmarku w Zelwie, wracając w 1821 z Warszawy, jak to atramentem na podszewce wypisano, za złotych 15, groszy 34.

*P. Rej.* Zjeżdżając niżej, nasze fraki, kamizelki i krochmalone na przodzie koszule zdają się tylko przyspieszać zapalenie płuc i suchoty, przez otwarte wrota jakimi wszystkim wiatrom do piersi przystęp dają. Nadzwyczajna długość kamizelek służy jedynie dla zwiększenia odbytu używanych na nie materij. Szekość zaś puł fraka, ani grzejąc ani chłodząc, ułatwia tylko złodziejom wyciąganie chustek, tak jak odłożyste jego skrzydła zapewniają tymże artystom przystęp do kieski i zegarka

*P. Sędz.* O, co zegarek mój, mości Dobrodzieju, to ten przynajmniej wygodnie sobie siedzi w umyślnie dla niego zrobionej, w spodniach, kieszonce. Sam Pinetti nie potrafiłby go wyciągnąć!....

*P. Rej.* Nakoniec, nasze obcięte, opięte, i zapomocą rzemyków naciągnięte spodnie, wymyślone zdaje się zostały dla zapewnienia częstej roboty krawcom, gdy z zadziwiającą szybkością u butów się przecierają. I, w ogólności, cały modny terazniejszy ubiór zdaje się jedynie mieć na celu połączenie największej drożyzny z jaknajkrótszą trwałością wszystkich jego artykułów. Tak, przekładamy sukno czarne, na fraki, dla tego że kolor ten ze wszystkich najbardziej jest kosztowny. Najmodniejszym kolorem rękawiczek jest biały lub żółty, dla tego, iżby więcej nad raz jeden przywdziać ich nie można. Buty powlekamy gryzącym pokostem, ażeby po tygodniu pokrajały się w kostki. Wreszcie, najmodniejsze laseczki nasze, bez których prawdziwy elegant ani kroku ruszyć nie może, są s takiego drzewa, które za najmniejszym uderzeniem pęka i kruszy się w dłoni.

*P. Sędz.* O co trzeina moja, ze skórczanemi potrzebami, ta się mi nie skruszy choćbym nią połowę naszego powiatu wygarbował. W Lidzie, mości dobrodzieju, kiedy toczyła się sprawa o konia, któremu, gdy chory leżał zi-

ma na drodze, przejeżdżający tamtędy przyjaciel mój, pan \*\*\*, urznał nogę, dla zabrania s sobą podkowy..... (słychać turkot pojazdu). Ale coż to takiego, czy nie żona moja wraca tak rano s teatru?....

*Pani Sędzina.* A... a.... dobry wieczor..... Pan Rejent dobrodziej wybiera zawsze, odwiedzając nas, porę, gdy mnie nie ma w domu..... Coż to takiego mąż mój zaczął był mówić o podkowach? Właśnie konie moje tak źle podkutými były iż s teatru wrocić musiałam.....

*P. Sędz.* Nie duszko, mówiliśmy o modach; i, *P. Rejent* zgadzał się właśnie ze mną iż niepotrzebnie tak wiele na ubiory twe wydatkuje.

*Pani Sędz.* Doprawdy? Bo też to *P. Rejent* zawsze mi chce w czemś przyciąć.....

*P. Sędz.* Ależ przyznaj się sama: przed kilką laty przepadałaś za szalami, i musiałem cały zarobek z czterech zjazdów exdywizorskich wyłożyć na kupienie tego właśnie białego szalu któryś przeszłego tygodnia sprzedała za sto r. srebr., dla nakupienia jakichś pulardów czy fulardów, wątlých jak pajęczyna, a pstrych jak sala kontraktowa na ś. Jerzy.

*Pani Sędz.* A bo też w Paryżu szale zostawione są dzisiaj samym tylko kucharkom i pokojówkom, i, gniewasz się zapewne żem go nie darowała Kostusi?

*P. Sędz.* Hr...hmm.... Wcale nie. Panie Rejencie, proszę na tabaczkę... — Popatrzcie, proszę, do czego podobna dziś moja żona? Na głowie sterczy jej przynajmniej pół bierkowca cudzych włosów, i dotąd nie mogę pojąć jak te ogromne pająki, służące zamiast kulczyków, nie porozrywają jej uszu.....

*P. Rej.* Cóż winna temu pani Sędzina, kiedy taka moda?

*P. Sędzia.* Nie mogę też pojąć jakim cudem utrzymują się bez opadnienia te krótkie rękawy, co schodzą jej aż do połowy ramion, odsłaniając na widok publiczny całe łopatki. Wszakże to u nas wiążą się zwykle styłu, przez połowę ramion zbiegli rekruci, a i tym nieraz spadają z nich powrozy, chociaż daleko mocniej od sznurówek ściągnięte?

*Pani Sędz.* I, dla tego właśnie, trzeba ładnych chusteczek, któreby, na wszelki przypadek, pierś zasłaniać mogły. — Ale, zapomniałam ci, moje serce, powiedzieć, że szpakowa-

ta klacz zupełnie okulała. Złe przykuta podkowa, oderwawszy się, całkiem roztrzaskała jej kopyto.

*P. Sędzia.* Szpakowata? szpakowata, najukochańsza moja szpakowata! Poczekaj chwilkę, panie Rejencie, natychmiast, za minutę, za kwadrans, za półgodziny wrócę.....

*P. Rejent.* Trzebaby zabiedz do sławnego naszego \*\*\*

*P. Sędzia.* Natychmiast,.... do [zobaczenia]!  
(*Wychodzi.*)

*Pani Sędz.* Ach, Boże mój! Otoż mieć takiego męża!.....

*P. Rejent.* Nie płacz pani..... i t. d.

## P O E Z Y A.

### W I E P R Z E K.

#### B A J K A.

Różne zdania w różnych chwilach!

Sądził wieprzek o daktylach:

Ze takowe

Są niezdrowe;

A w domyśle,

Biorąc ściśle,

Przed wszystkiemi twierdził śmiecie,

Ze mają trucizny wiele. —

Co za mądrość niepojęta!

Wykrzykną owce, cielęta:

Dalej bracia, żywym torem,

Obwołajmy go doktorem! —

W tem liszka wpada do koła,

Ach! wstrzymajcie się zawola;

I niech nabierze kto śmiałości tyle,

Zapytać się go wprzódy — czy widział daktyle?

J. H. KURZEWSKI.

### DWA MOPSY I SZPAK.

#### B A J K A.

Raz ujrawszy śpiącym lwa,

Rzekły sobie mopsy dwa:

»Co nam to za straszny Pan!

»Co nam to za Jegomość?

— »Wiesz co bratku, ja mam plan,

»Wyrdządzę mu jaką złość!...

— »Ja to samo. Co tam lew!...

»I mops także ma swój gniew;

»Ma pazury, zębów rząd;

»A jak szczerknie! słysząc zład

»I o mile i o dwie!

Ja drwię ze lwa — i ja drwię!... —

Słyszac to junactwo szpak,

Powiedział im tak:

»Oto jeszcze póki czas,

»Uciekajcie głupcy w las!

»Dosyć jednej szpony lwa,

By zuchwałę mopsy dwa,

Jak dwie muchy zdusić, — zgnieść!..« —

Tej bajeczki taka treść;

Zgubę znajdzie w każdej grze,

Kto z mocniejszym koty drze. —

R. K.